Nr. 23. Kraków, dnia 1 Grudnia 1897. Rocznik II.

Redakcyi i Administracyi: ulica Floryańska L. 55,

Listy i przesyłki pieniężne adresować należy do Redakcyi lub Administracyi ulica Floryańska L. 55,

Rękopisów nie zwraca się.

Listy reklamacyjne nie podlegają opłacie

Kuryer Kolejowy

Organ galicyjskich kolejarzy

Prenumerata wynosi:
W Krakowie:
(bez odsyłki)
półrocznie . . — „ 60 „
kwartalnie . — „ 30 „
kwartalnie . . — „ 35 „
W Niemczech:
rocznie 3 marki.
We Francyi:
rocznie . . . 5 franków

Numer pojedynczy 5 ct.

Do nabycia w Krakowie w Biurze dzienników Plac Maryacki L. 2.

Wychodzi . . 15 każdego

Obiecanki, cacanki...

Rząd austryacki lubi przyrzekać, jego ministrowie mają szczególny sposób czynienia obiecanek, przyrzeczeń, których nigdy nie myślą wypełnić. Od szeregu lat reprezentanci austryackiego rządu pokazują niejako zdaleka ludowi wspaniałe reformy, które mają moc urzeczywistnić, ale o których nigdy na seryo nie myślą. Cała polityka socyalna opiera się u nas od dłuższego już czasu na tego rodzaju złotych górach, na pięknych słówkach ministeryalnych, które do niczego nie obowiązują i mogą tylko co najwyżej być świadectwem wymowności naszych „wielkich“ mężów stanu.

Jestto zasada, której się rząd trzyma w mniemaniu, że dzisiejszy lud, to owe masy z dawnych czasów, które można było brać na lep obiecanek, do których można było zastosować przysłowie: „obiecanki, cacanki“...

Tegoroczne przemówienia ministrów są nowym dowodem, że ta stara zasada mówienia „na wiatr“ dotąd jeszcze jest w użyciu. Minister skarbu, dr. Biliński, usprawiedliwiając wzrost budżetu kolejowego o 2.500.000 złr., oświadczył, że rząd użyje tej nadwyżki na przeprowadzenie koniecznych reform w zawodzie kolejowym, że przedewszystkiem poczyni odpowiednie zmiany w personalu strażników kolejowych, t. j. pomnoży ich liczbę celem skrócenia czasu służby i t. p.

Wówczas niektórzy „ludowi“ posłowie, a zwłaszcza „chrześciańsko-socyalni“, zachwyceni temi daleko idącemi reformami, oklaskiwali gorąco te piękne słowa mowcy. Była to radość przedwczesna, radość ludzi, którym wystarcza przyrzeczenie ministra, ale którym dobro ludu nie leży w istocie na sercu. My nie zadowalniamy się gołosłownemi obiecankami, choćby nawet tak wysokiej osoby, jak minister skarbu, ale mamy już z natury niewygodne dla wielu przyzwyczajenie kontrolowania wszystkiego, co nam mówią i przyrzekają, a ta właśnie nasza ciągła, baczna kontrola, daje nam dopiero jasne pojęcie o wartości słów, które nam rzucają z góry. Minister Biliński przyrzekł nam poprawę doli strażników kolejowych, przyrzekł pomnożenie personalu, — a my, przeglądając preliminarz budżetu ministerstwa kolejowego na r. 1898, widzimy zupełnie co innego.

I oto, co czytamy w tym projekcie budżetowym, w rubryce „systemizowane płace strażników“:

Dla nadzorczej służby kolejowej (Bahnaufsichtsdienst) 1842 strażników z płacą miesięczną 30 złr., 1772 z płacą miesięczną 27 złr., i 2086 z płacą miesięczną 24 złr. Dla służby stacyjnej 872 strażników z 30 złr. płacy miesięcznej, 890 z 27 złr. i 1062 z 24 złr. miesięcznej płacy. Służba pociągowa (Zugsfoerderungsdienst) obejmuje w całości 92 strażników, podzielonych na powyższe trzy klasy (30, 27 i 24 złr.), służba warsztatowa 24, służba w magazynach materyałowych 12 strażników, podzielonych znowu na owe trzy stopnie płacy miesięcznej. Razem więc na kolejach państwowych ma być w r. 1898:

2749	strażników	z 30 złr.	płacy mies.
2684	„	„ 27 „	„ „
3219	„	„ 24 „	„

Tak się przedstawia stan personalu strażników w roku przyszłym. Czy w tem widać choć jedno przyrzeczenie p. Bilińskiego urzeczywistnione? Czy doprawdy ten personal został pomnożony? Czy doprawdy jakakolwiek poprawa dotychczasowego położenia daje się spostrzedz w powyższych cyfrach? Czy to urzędowe zestawienie daje nam istotnie zapowiedź spełnienia obiecanek p. Bilińskiego, czy daje rękojmię prawdziwości słów ministra? Nie i jeszcze raz nie! Ilość strażników, wynosząca razem 8652, nie jest ani mniejszą ani większą od tej, która była w latach 1896 i 1897. Ta sama wiecznie szczupła, niedostateczna ilość, narażająca na ciągłe przeciążenie pracą, wtrącające w stan obezwładnienia, pociągające za sobą tyle, tyle codziennych nieszczęść... I to wszystko po publicznem oświadczeniu w parlamencie, że pieniądzy, wyciśniętych z kieszeni ludu, użyje się na reformy, na pomnożenie ilości strażników!

A ta „poprawa“ losu strażników, której słodkie przyrzeczenia, płynąc strumieniem miodu z ust ministra, wprawiały w zachwyt chrześciańsko-socyalnych posłów? Preliminarz budżetowy podaje trzy stopnie płacy miesięcznej: 30, 27 i 24 złr. miesięcznie, oto „poprawa“ p. Bilińskiego. Czyż to nie są te same nędzne płace, które dotąd wystarczały zaledwie na najskromniejsze utrzymanie, które pozwalały zaledwie na zaspokojenie pierwszego głodu płaczących dzieci, które strudzonemu ojcu rodziny, schorzałej matce, wlewały niezbędny zasób sił do dalszej pracy, do walki z nędzą? Ale p. Biliński oświadczył, że nadwyżka budżetowa pójdzie na podwyższenie płacy najnędzniejszych z pomiędzy nędzarzy kolejowych — i chyba sądził, że sama czarodziejska moc jego słów wystarczy do tej cudownej przemiany.

Gdybyśmy zresztą nie znali pana ministra skarbu, gdybyśmy nie wiedzieli, że to bądźcobądź człowiek fachowy, człowiek o wiedzy nowoczesnej, wyrażający w dziełach swoich zdania, na które my nawet pisać się możemy w zupełności, to moglibyśmy wierzyć w jego dobrą wiarę, a przypisywać mu co najwyżej naiwność, nie wiedzę, którą odznacza się dużo jego kolegów. Ale wobec p. Bilińskiego musimy koniecznie przypuścić, że mówił świadomie nieprawdę, że oszukiwał poprostu a raczej starał się oszukać reprezentantów ludu, mówiąc rzeczy, w których spełnienie sam nie mógł wierzyć. Zbyt dobrze zna on potrzeby kolejnictwa, zbyt dobrze zna sumy, potrzebne do przeprowadzenia gruntownych reform, aby mógł wierzyć, że kwota tak stosunkowo mała, będzie wystarczająca. Bezsprzecznie rozpocząć jakąś akcyę reformatorską można, ale te daty, które sam pan Biliński przedstawił, nie świadczą bynajmniej o dobrych chęciach...

Obiecanki ministra wykazują tylko ponownie, że od rządu niczego spodziewać się nie można. Tam, gdzie w innych państwach rozpoczyna się działalność reformatorska, u nas się kończy. Puste, zwodnicze przyrzeczenia — oto jedyne oznaki pracy społecznej austryackiego rządu. A jeśli nas one nie dotykają w tym stopniu, jakby się mogło wydawać, to tylko dlatego, żeśmy im nigdy nie wierzyli i wierzyć nadal nie będziemy.

PRZEGLĄD.

Ugoda austryacko-węgierska stała się w parlamencie początkiem gwałtów i najbezczelniejszych zamachów na całość konstytucyi. Zadaniem hr. Badeniego było doprowadzić ugodę do skutku. Widzieliśmy już, że wnet dał za wygrane i zamiast ugody, chciał mieć przynajmniej prowizoryum ugodowe. Nie mogąc sprostać głównemu obowiązkowi, dla którego został powołany na godność prezydenta ministrów, hr. Badeni sam sobie umniejszył zadanie, ale ten ciężar zmniejszony postanowił na wszelki wypadek zrzucić z siebie przed oznaczonym terminem, czyli mówiąc innemi słowy, postanowił uzyskać prowizoryum przed 1 stycznia 1898. I oto punkt, na którym zetknęła się i starła wola Badeniego z obowiązkiem opozycyi parlamentarnej. Hr. Badeni chciał mieć prowizoryum, aby potem swobodnie rządzić dalej — więc było najważniejszem zadaniem opozycyi, nakazanem nietylko przez polityczny rozum, ale i sumienie obywatelskie nie dopuścić do tego pod żadnym warunkiem. Oto cel, oto hasło, pod którem podjęła walkę obstrukcya parlamentarna, a było jej powinnością prowadzić walkę tak, aby zwycięstwo było pewne. W tem leży źródło coraz gwałtowniejszej obstrukcyi w Izbie i w komisyi budżetowej. I doszło wreszcie do tego, że rząd hr. Badeniego nie mógłby był nigdy uzyskać prowizoryum do końca bieżącego roku opozycya korzystając z praw zastrzeżonych regulaminem, zgłosiła 30 wniosków mniejszości, a ilość zapisanych mowców w związku z innemi używanemi już dotąd sposobami przedłużenia obrad świadczyła wymownie, że wola hr. Badeniego ulegnie przed wolą reprezentantów ludu. Rząd i prezydyum Izby znalazły się w największym kłopocie. Ale nie naprożno prezydentem Izby jest Dawid Abrahamowicz. Człowiek ten wyszkolony na wyborach galicyjskich nie wahał się nigdy użyć przemocy i gwałtu, jeśli chodziło o przeprowadzenie woli rządu i polskich junkrów.

Gwałt w parlamencie, gwałt na nietykalnych osobach wybrańców ludu, gwałt na najświętszych prawach wolności parlamentarnej — to nic trudnego dla Dawida Abrahamowicza. Żaden ustawowy, żaden prawny regulaminowy środek nie wystarczał Badeniemu i jego ormiańskiemu lokajczykowi do stłumienia obstrukcyi. Szereg nadużyć i bezprawi, szereg najbezczelniejszych zbrodni wobec konstytucyi ukoronował Abrahamowicz zamachem, który przeszedł wszystko, czego można było oczekiwać nawet od takiego prezydyum, który objął odrazu naruszenie nietykalności poselskiej, naruszenie ustaw zasadniczych i podstawowych całego parlamentaryzmu. Hr. Falkenhayn stary zbrodniarz o miedzianem czole, który na trupach robotniczych budował swój majątek, który w Ostrawie Morawskiej i Falknowie broczył w krwi robotnicze, — stał się narzędziem Abrahamowicza i najbardziej krzyczące bezprawie ubrał w formę wniosku. Podług tego wniosku prezydent miał otrzymać prawo wykluczenia każdego posła, jeżeli dwukrotne upomnienie nie poskutkowało, i to na przeciąg trzech posiedzeń; wykluczony poseł ma prawo odwołać się do Izby: Izba sama może wykluczyć posła na 30 posiedzeń. Oto treść tego ohydnego wniosku, który miał być środkiem usunięcia niewygodnych dla rządu posłów. Ale nie dość na tem, że sam wniosek był już złamaniem ustawy, która stanowczo nakazuje posłom być zawsze na posiedzeniach obecnym, że był nikczemnem i zuchwałem kpieniem z woli ludu, który wysyłając swoich przedstawicieli, chce, aby oni brali udział w obradach parlamentu i kontrolowali każdy krok rządu. — sposób przeprowadzenia tego wniosku, w sposób, w jaki Abrahamowicz skonstatował jego uchwalenie, było bezwstydnem, zbrodniczem naigrawaniem się z wszystkiego, co dotąd stanowiło prawną podstawę obrad parlamentarnych. Aby zrozumieć niezrównany ten pod względem bezczelności krok prezydenta, dość powiedzieć, że wniosek ten dotyczył właściwie zmiany regulaminu, że porządek obrad wymaga, aby taki wniosek odesłać do komisyi, aby go następnie przedłożyć pełnej Izbie w pierwszem, drugiem i trzeciem czytaniu. – Tymczasem wbrew temu wszystkiemu, prezydent Izby ogłosił wniosek Falkenhayna za przyjęty, poleciwszy przedtem powstać z miejsc prawicy. Wrzawa i hałas, towarzyszące temu bezprawiu, były tak wielkie, że opozycya nawet nie miała czasu spostrzedz tego, co się stało. Zapytany przez nią Abrahamowicz, oświadczył, że choć wie sam, iż to było bezprawne, to jednak musiał to uczynić.

Zakneblować usta opozycyi, a przez ten gwałt uzyskać na czas prowizoryum ugodowe. — to droga, na którą wstąpił w ten sposób rząd i prezydyum, to cel wniosku Falkenhayna. I istotnie opozycya ujrzała się wobec tego pozbawioną wszelkich legalnych środków walki, ujrzała się wydaną na łup bezgranicznej samowoli prezydenta i większości. Policyjne prawo wykluczania posłów rozszerzyło władzę prezydenta do potwornych rozmiarów. Można było być pewnym, że taki Abrahamowicz, w którym pokutuje dusza policyanta, skorzysta z pierwszej lepszej sposobności dla użycia nowego przywileju. I dopiero teraz w tej najgorętszej, rozstrzygającej chwili okazało się jak mało warta jest cała burżuazyjna opozycya. Okazała się tchórzliwość i bezradność tych ludzi, którzy byli zawsze w Izbie najgłośniejszymi krzykaczami, którzy wszystkie siły zużywali na bicie w pulpity, którzy, słowem, wszystkiem umieli walczyć, tylko nie mózgiem, wszystko posiadali, tylko nie odwagę. Na wspólnej naradzie wszystkich klubów opozycyjnych oświadczyli liberali i antysemici i Szenereryanie i większa własność, że należy

teraz ustąpić z parlamentu, trzymać się polityki abstynencyi. To było ostatnie słowo mądrości politycznej burżuazyi: rzuconej rękawicy nie podjąć, ale wycofać się z „honorem...“ W czasie, kiedy walka do ostatniej kropli krwi była jedynym sposobem zwycięstwa, opozycyjna burżuazya chciała opuście pole bitwy, zostawić rządowi i większości swobodę działania.

Klub socyalno-demokratyczny napiętnował dosadnie podobne postanowienie: pod jego to wpływem uchwaliły kluby pozostać i złożyć oświadczenie, protestujące przeciwko wnioskowi Falkenhayna. Ale i ta uchwała nie mogła zadowolnić naszych posłów tam, gdzie się dzieją gwałty, zozboje na gładkiej drodze, gdzie bezczelność przechodzi wszelkie granice, ograniczać się do wygłaszania „uroczystych“ protestów — to wprost śmiesznie mało. Socyalni demokraci oświadczyli, że nie pozwolą na to nigdy, aby podobne gwałty uchodziły bezkarnie. Prezydyum i prawica wydały całej opozycyi walkę na noże. Trzebaby nie mieć chyba krwi w żyłach, aby znosić spokojnie najstraszniejsze nadużycia, jakiego dotąd nie zapisała historya parlamentaryzmu w żadnem innem państwie. Gwałty Badeniego i Abrahamowicza wymagały tylko gwałtów w odpowiedzi. Posłowie socyalistyczni, którzy za najświętszy obowiązek mają obronę wolności, obronę praw ludu, nie mogli ustąpić wobec wyzywającej postawy strony przeciwnej i idąc za głosem sumienia, stanęli w obronie zagrożonej konstytucyi.

Nie godzien jest istnienia parlament, który zezwala na takie gwałty, który sam dobrowolnie zrzeka się praw swobody i sam nakłada na siebie jarzmo policyjnego dozoru. Izba, której większość była w stanie pogwałcić w ten sposób pierwsze prawidła sprawiedliwości, której prezydyum dopuszcza się świadomie i za wiedzą większości najwstrętniejszych krętactw, taka Izba nie zasługuje już na żadne względy: to już nie poważne ciało prawodawcze, nie poważna reprezentacya ludu, ale banda gwałcicieli praw ludowych. I z tej wychodząc zasady, frakcya socyalno-demokratyczna postanowiła pozbyć się wszelkich względów, postanowiła za gwałt gwałtem odpłacić, a dalszych obrad tej Izby nie dopuścić. Oburzenie, które rozpierało piersi każdego socyalistycznego posła, musiało znaleźć upust w gwałtownym wylewie, któryby zerwał wszelkie zapory, objął całe to pole korupcyi i zepsucia i położył koniec dalszemu szerzeniu się gwałtów i nadużyć.

Dnia 26 listopada miało się odbyć posiedzenie Izby. Był to dzień właśnie po „uchwaleniu“ wniosku Falkenhayna. Czuć było w powietrzu, że gotuje się coś niezwykłego. Posłowie socyalistyczni stanęli murem przy ławach ministeryalnych, a kiedy wszedł do Izby Abrahamowicz z swoimi zastępcami, rozległ się z ich piersi jeden okrzyk: „Precz z nim! Precz!“ Oburzenie było tak wielkie, że ogarnęło i innych posłów z opozycyi. Posypały się dobrze zasłużone przezwiska na głowę prezydenta Izby. Wtem jeden z naszych posłów, Berner, wskoczył na trybunę prezydyalną i rozdzierając akty Izby, rozrzucił je po sali. Za nim inni posłowie opanowali trybunę, a na krześle prezydyalnem zasiadł poseł Daszyński. Abrahamowicz blady i wystraszony, wymknął się szybko z sali. Tymczasem młodoczesi, płatni parobcy Badeniego, rzucili się na Bernera i zaczęli go ściągać z trybuny. Powstała bójka, hałas, wrzawa nie do opisania, podczas czego jednakże nasi posłowie nie ruszyli się z zajętego stanowiska. Wiceprezydent Kramarz wzywał ich napróżno do opuszczenia trybuny. Poseł Daszyński oświadczył stanowczo, że ustąpią tylko pod przemocą. Wówczas stało się coś niesłychanego: **siedmdziesięciu zbrojnych żołnierzy policyjnych wkroczyło do Izby**, gdzie zasiadali nietykalni posłowie; na ich czele, obok kilku komisarzy, młodoczeski poseł Lang. Wezwanie komisarzy do opróżnienia trybuny, nie poskutkowało również. Wówczas policyanci znieśli każdego z naszych posłów z osobna i wynieśli ich z sali; wszyscy, drugiemi drzwiami powrócili wkrótce. Tymczasem prezydent usiłował rozpocząć posiedzenie. Ale krzyki nie ustawały. Wówczas Abrahamowicz zrobił po raz pierwszy użytek z wniosku Falkenhayna: wezwawszy dwa razy do porządku posła Wolfa, ogłosił, że wyklucza go na trzy posiedzenia z Izby, nie pozwalając nawet odwołać się do Izby. Wolf nie chciał naturalnie opuście sali, a wtedy na dany znak wynieśli go czterej policyanci z gmachu na ulicę. Za tem pierwszem wykluczeniem posypały się dalsze: tow. Daszyńskiego, wołającego do Abrahamowicza: „Pan powinieneś być w kryminale!“ spotkało to samo. Policyanci znieśli naszego posła ze schodów, gdyż oświadczył on, że w żaden sposób dobrowolnie nie ustąpi. „Mnie tu wysłało 23.000 moich wyborców, którzy mi tu kazali siedzieć!“ — wołał tow. Daszyński. Tym samym trybem poszły wykluczenia posłów Schönerera, Kozakiewicza, Resla, Bernera i innych posłów socyalistycznych, z wyjątkiem tow. Hannicha, Vratny'ego i Kiesewettera. Wykluczono zatem trzynastu posłów, między tymi jedenastu socyalnych demokratów. Pomimo tego dalsze obrady okazały się wskutek wzburzenia wielkiego i krzyków niemożliwemi. Wiceprezydent wobec tego zmuszony był zamknąć posiedzenie.

Wieść o tych zajściach w parlamencie rozbiegła się lotem błyskawicy po całej monarchii. Oburzenie ludności rosło, jak groźna lawina. „Policya w parlamencie! Nietykalność posłów naruszona!“ Oto okrzyki, które przechodząc z ust do ust wzniecały ogień strasznego wzburzenia, zajmującego coraz szersze kręgi. Wiedeń poruszył się naprzód i niedał długo czekać na wypowiedzenie swego zdania. Jeszcze tego samego dnia ludność tłumami ciągnęła do parlamentu, wznosząc okrzyki na cześć socyalnych-demokratów, Wolfa i Schönerera; zapał ogarniał wszystkich: robotnicy i studenci gromadzili się na ulicach, a obok okrzyków: „Hoch die Social-demokratie!“, Hoch Wolf“ itp. wzbijał się z piersi wszystkich jeden groźny okrzyk: „Nieder mit Badeni! Precz z Badenim!“ Inne miasta nie pozostały w tyle: z prowincyi nadeszło do redakcyi „Arbeiter-Zeitung“ mnóstwo telegramów z wyrazami uznania dla postąpienia naszych posłów. W Gracu demonstracye przybrały szerokie rozmiary: powieszono biust Badeniego, spalono lalkę, przedstawiającą osobę prezydenta ministrów. Doszło do starcia z wojskiem: czterech robotników zabito, kilkunastu raniono — polała się krew robotnicza...

W Krakowie demonstracya z dn. 28 listopada wykazała, że i nasi robotnicy, nie dając się omamić nędznym głosom płatnych pismaków, nie dając się otumanić zdradliwym podszeptom jezuickich duchów, czują i myślą zgodnie z proletaryatem innych narodowości. Kilkuset robotników i studentów oczekiwało posła Daszyńskiego o godz. 3-ej po połud. na dworcu i na ulicy. Potężny okrzyk „niech żyje!“ oznajmił przybycie reprezentanta krakowskiego ludu. Olbrzymi pochód ciągnął ulicą Kolejową i Starowiślną na miejsce zgromadzenia. Dźwięki „Czerwonego sztandaru“ mieszały się i przeplatały z entuzyastycznemi okrzykami na cześć socyalnej demokracyi i posła Daszyńskiego. Imię Badeniego wywoływano i tu tylko w takim związku, jak w Wiedniu i Gracu... Zgromadzenie rozpoczęło się po 3-ej. Sala była tak szczelnie zapełniona, że kilka osób zemdlało; nadto cały plac naokoło miejsca zgromadzenia zajęty był przez setki tych, dla których w sali nie było już miejsca. Mowę posła Daszyńskiego przyjęto z ogromnym zapałem; nie było w tym wielotysięcznym tłumie ani jednego, dla któregoby nie stała się widoczną konieczność takiego kroku, jaki uczynili nasi posłowie. Wśród gorących oklasków i ciągłych, niemilknących okrzyków na cześć mowcy, zgromadzeni wyrazili, zupełną solidarność z postępkiem posłów socyalistycznych i ich czyn za swój uznali.

I tak, gdziekolwiek lud przemówił, tam wyraził szczere, zupełne uznanie jedynym obrońcom praw ludowych, a najżywszą pogardę, najwyższe oburzenie gwałcicielom swobody. Nikt nie wątpił, że tak, jak się stało, stać się musiało i stało się najlepiej; że parlament austryacki uzyskał wreszcie to, na co dawno już był zasłużył... A okrzyk „precz z Badenim!“ wskazywał najlepiej, że te tysiące ludu rozumieją zarazem przyczynę obecnego stanu rzeczy, że pojmują dokładnie, co może go zmienić i usunąć. Posłowie w parlamencie, a na szerszej arenie cały uświadomiony lud domagał się ustąpienia człowieka, który niejako samą osobą swoją jątrzył i pogarszał sytuacyę. A to żądanie było tak dalece wynikiem naporu stosunków, że mu się stać zadość musiało:

Badeni ustąpił! Ten dumny, „żelazny“ szlachcic, który jeszcze przed kilkoma tygodniami oświadczył, że nie zlęknie się żadnej opozycyi, że nie myśli ustąpić, musiał uznać się za pokonanego i wycofać się z pola bitwy. I w tem okazuje się nietylko potęga ludu, ale także wielkie znaczenie dobrze zorganizowanej reprezentacyi parlamentarnej. Jasną jest bowiem rzeczą, że Badeni zmuszony był ustąpić przed nieliczną garstką socyalistycznych posłów, że uległ, pokonany przez socyalistyczną opozycyę. Żadna inna partya, żaden inny sposób walki nie byłby skłonił do ustąpienia tego człowieka, który tak bardzo ukochał swój ministeryalny fotel. Nad wyciem i stukiem Wolfa i Schönerera przechodził rząd i prezydyum do porządku dziennego — ale jedno wystąpienie socyalistów wystarczyło do obalenia tego — jak się zdawało — niewzruszonego „kolosu“. Oto jaką wartość ma dobra taktyka parlamentarna, stosowne wystąpienie w odpowiedniej chwili. Frakcya socyalistyczna siedziała dotąd spokojnie, nie brała udziału w muzykach Wolfa, owszem uważała je często za żakowskie komedye; ale kiedy rząd sam przebrał miarkę, kiedy się wszystko gotowało w każdym uczciwym człowieku, wówczas jeden krok tylko ze strony socyalistów i to, do czego napróżno dążyli inni, stało się ciałem. Osoba Badeniego należy już do historyi, a raczej tylko do przeszłości, bo historya przejdzie nad nią do porządku, jak nad jednostką, którą ślepy traf wyniósł ponad szary tłum, ale która niczem temu wyniesieniu odpowiedzieć nie była w stanie. Hr. Badeni nie będzie mógł nawet o sobie powiedzieć, że dokonał tego, co przedsięwziął. Powołany do przeprowadzenia ugody austrya-ko-węgierskiej, ułatwiwszy sobie później sam poruczone zadanie — nie był w możności wypełnienia nawet tego, co musiał już uważać za pewne. Upadek taki musi być dla hr. Badeniego podwójnie bolesny: zaszedł bowiem w chwili, kiedy zdawało się prawie, że nic już nie jest w stanie wydrzeć mu prowizoryum z ręki. Hr. Badeni był jako żeglarz, który płynął, choć z trudem, ale zawsze płynął — i aż przy samym już brzegu, dotykając się prawie rękami stałego lądu, utonął.

Następcą Badeniego ma zostać dotychczasowy minister oświaty, br. Gautsch. Cesarz powierzył mu już utworzenie nowego gabinetu, ale — o ile się zdaje — gabinet ten będzie miał cechę prowizoryczną, ściśle urzędniczą. Zadaniem jego ma być wlanie życia niedonoszonemu dziecięciu Badeniego, doprowadzenie do końca prowizoryum ugodowego. Prawdopodobnie przez czas prowizorycznych rządów gabinetu Gautscha (który zatem nie będzie miał żadnej cechy politycznej) poczyni się znowu starania pogodzenia Czechów z Niemcami. Można się spodziewać, że teraz, skoro najważniejsza przeszkoda, Badeni, już usunięta, sprawa cała pójdzie o wiele łatwiej. Lew młodoczeski dawno już ugłaskany i nie będzie z nim chyba wiele kłopotu, zwłaszcza że byłoby ogromnym nierozumem politycznym ze strony rządu chcieć go drażnić niepotrzebnie. Niemcy zaś, a raczej stronnictwa takie, jak wielka własność, antysemici (którzy już i tak pokryjomu wąchali się z rządem), a wreszcie i liberali nie będą stawiali zbytnich przeszkód. Odpowiednia zmiana rozporządzeń językowych zadowolni z pewnością niemieckich opozycyonistów, którym już suknia opozycyi stawała się za ciasną i za ciężką. Poczciwcy ci, nie przywykli do „skrajności“, przyjmą z radością np. miejsca w gabinecie lub choćby w prezydyum. Na stanowisku pozostaną przedewszystkiem socyalni-demokraci, otoczeni może innemi, mniejszemi grupkami, dosyć zresztą — jak i dotąd — chwiejnemi. Socyalni-demokraci nie myślą bowiem wcale, jakoby z pokonaniem Badeniego skończyła się ich walka z rządem. Badeni, uosobienie gwałtu i przemocy magnackiej, wymagał szczególnego niezwykle może ostrego sposobu opozycyi. Ale nie wynika z tego bynajmniej, ażeby rząd Gautscha lub jakikolwiek inny miał być od tej opozycyi wolnym. Może tylko ta walka naszych posłów z rządem słabnąć lub wzmagać się stosownie do okoliczności, ale ustać nie może nigdy. A po tem pierwszem zwycięstwie nad Badenim muszą pójść inne nad Gautschem, czy jakimkolwiek innym rządem austryackim...

Austrya święci dzisiaj z tryumfem upadek ministeryum, które samem istnieniem swojem przynosiło jej wstyd i hańbę. W skład nowego gabinetu nie wchodzi ani jeden z dotychczasowych ministrów. Do święcenia więc tryumfu z upadku uprawnionego gwałtu my, kolejarze, mamy szczególne przyczyny: wraz z Badenim runął w otchłań przeszłości godny jego współpracownik na polu gwałtów i bezprawi, minister Guttenberg. Proletaryat austryacki uzyskał nareszcie zadośćuczynienie za popełnioną na nim zbrodnię: ten, który śmiał targnąć się na jego organizacyę, musiał ugiąć się pod jego potęgą, musiał uznać nareszcie prawdziwą władzę. I tak do ogólnego tryumfu przyłącza się jeszcze nasza specyalna radość z sromotnej klęski spółki Badeni-Guttenberg.

O drożyźnie.

Bratni nasz organ wiedeński „Eisenbahner“ pisze między innemi, co następuje: „W przeciągu ostatnich miesięcy dało się zauważyć w całej Austryi ogólne podrożenie najniezbędniejszych środków spożywczych, jak mięso, cukier, piwo, a głównie chleb, względnie mąka, i nie ma na razie żadnych widoków na spadek cen tych artykułów. Jako przyczynę tego podrożenia podaje się zwyczajnie nieurodzaj, spowodowany przez tegoroczne wylewy; nie zbłądzimy jednak, jeżeli jako współwinnych, jeśli nie głównie winnych, uważać będziemy pośredników w handlu, spekulantów na giełdzie zbożowej a głównie wielkich kapitalistów, związanych w najrozmaitsze kartele, którzy pod opieką rządu dyktują ceny i wyzyskują publiczność. Cóż więc mają czynić zwłaszcza ci, którzy mają stałą płacę? Każdy urzędnik i inny funkcyonaryusz, który otrzymuje stałą płacę, stoi zupełnie bezbronny wobec podwyższenia cen środków spożywczych. Jego nikt się nie pyta, w jaki sposób uczyni zadość tym podniesionym żądaniom. Przedtem już nie mógł wystarczyć, cóż ma teraz począć? Nie ma nikogo, na którymby mógł szukać odszkodowania; jest wprost zmu-

szony zwrócić się do swego służbodawcy i u niego szukać pomocy. Wszak cały zasób swoich sił ofiaruje zarządowi, ciągle — w dzień i w nocy — musi być przygotowanym do wystąpienia w obronie interesów swoich służbodawców. Kolejarz spełnia przytem bardzo odpowiedzialną czynność — ma on powierzony swojej opiece majątek nietylko swego służbodawcy, ale i publiczności, w jego rękach leży też bezpieczeństwo życia jego kolegów zawodu i podróżującej publiczności, a więc dóbr, których nic wynagrodzić nie potrafi. Człowiek, który spełnia taką odpowiedzialną funkcyę, musi całą uwagę poświęcić służbie, powinien więc materyalnie tak być zabezpieczonym, ażeby nie miał do walczenia z troskami o chleb codzienny. A przecież te troski grożą już dzisiaj ogromnej części niskich urzędników i służby, a mamy nie bezpodstawną nadzieję, że wkrótce będzie jeszcze gorzej. P. Biliński stara się o to bardzo przez nakładanie pośrednich podatków, a podatek na piwo, wódkę, cukier i przewozowy wiszą, jak miecz Damoklesa nad naszemi głowami; skoro te nadejdą — a będzie to pewnie niezadługo — wówczas będzie nam jeszcze gorzej. Coroczny budżet prawie każdego niższego kolejarza, wykazuje już dzisiaj deficyt, który rośnie z roku na rok i grozi biedakowi zupełną ruiną. Cóż będzie dopiero, skoro te nowe podatki i inne jeszcze wejdą w życie? Wobec tych złych stosunków widzieli się mężowie zaufania dawnych rozwiązanych stowarzyszeń zmuszeni rozpocząć akcyę celem uzyskania dodatków drożyźnianych na wszystkich kolejach. Przyjęto w zasadzie, że funkcyonaryusze, którzy pobierają płace do 1000 złr. rocznie, mają otrzymać 15-o, ci, którzy mają 1000 złr. do 1600 złr. 10-o, wreszcie tacy, co pobierają jeszcze wyższe płace, 5-o-procentowy dodatek. W tym celu zbiera się podpisy dla uzyskania niejako zgody ze strony wszystkich interesowanych. Ze te żądania nie są za duże, ale zupełnie usprawiedliwione, to będą nam musieli przyznać nawet najwięksi nieprzyjaciele".

Przypominamy towarzyszom, że nasz „Kuryer" umieścił już przedtem artykulik w sprawie dodatków drożyźnianych, w którym wykazał jaskrawo niesprawiedliwe postępowanie władz kolejowych przy rozdziale tych dodatków. Porównując to, cośmy już pisali, z tem, co pisze teraz „Eisenbahner", możemy dopiero mieć całkowity obraz tego ścisłego związku, jaki panuje między każdem przedsiębiorstwem kolejowem, a resztą kapitalistycznego świata. Jeżeli chcemy przełamać opór władz kolejowych i otrzymać to, co nam się słusznie należy, to musimy wszyscy zgodnie przyłączyć się do wspomnianej wyżej akcyi. Dlatego wzywamy was, abyście nie omieszkali nigdzie położyć swego podpisu na arkuszach, które wam się w tej sprawie przedłoży na znak, że wiecie, iż to, co wam dają, nie wystarcza i wiecie, czego macie żądać.

Choroby kolejarzy, jako następstwa wypadków kolejowych.

Temat ten przedstawił nam niedawno w jednem z pism lekarskich lekarz kolejowy dr. Stepp, omawiając piętnaście wypadków cięższych zawikłań chorobowych wskutek katastrof kolejowych. Badania te mają wielką wagę dla kolejarzy, zwłaszcza, jeśli się zważy, jak często ofiary katastrof cierpią przez niedbalstwo z lekkomyślności lekarzy. Otóż z podanych przez dra Steppa wypadków widzimy przedewszystkiem, że nawet najlżejsze uszkodzenia cielesne mogą pociągnąć za sobą najsmutniejsze następstwa. Ciało i umysł kolejarza, wstrząśnięte nawet pozornie lekko, mogą z czasem uledz cięźkim przypadłościom chorobowym, kończącym się nierzadko śmiercią. Podamy tu trzy takie wypadki, jako najbardziej charakterystyczne: dwa pierwsze dotyczą uszkodzeń cielesnych, trzeci wzruszeń umysłowych. I tak jeden 76-letni wagenwerter spadł z niewielkiej wysokości przy wykolejeniu się pociągu: po 14 dniach zgłosił się napowrót do roboty, uważając się za zupełnie zdrowego. Jednakże po 5 do 6 tygodniach wystąpiły dopiero wybitne objawy chorobowe: chory miał dolegliwe bóle w głowie i krzyżach, a wreszcie okulał, włócząc prawą nogę. Po roku wypadły mu zupełnie włosy z brody i na głowie, tak, że 47-letni mężczyzna robił wrażenie złamanego starca, albowiem wychódł jeszcze ogromnie, oczy się zapadły, twarz zmarszczyła i pożółkła. — Drugi wypadek odnosi się do 38-letniego kierownika lokomotywy, który przy zderzeniu pociągów rzucony został na głowę i plecy. Człowiek ten dopiero po trzech tygodniach uczuł następstwa wypadku: wystąpiły silne bóle głowy, bezwład w nogach, osłabienie mowy i pamięci. Po 7 miesiącach wyłysiał zupełnie, a po trzech latach umarł, nie powróciwszy już nigdy do pierwotnego stanu. — Wreszcie ostatnie zdarzenie dotyczy również kierownika lokomotywy, który przy zdarzeniu doznał tylko silnego wstrząśnięcia. Jednaście dni był jeszcze w służbie, poczem zgłosił się, jako chory, bez żadnych jednakowoż objawów chorobowych. Po 4 tygodniach objął służbę napowrót, aż wreszcie po 4 miesiącach prosił o uwolnienie, czując się niezdolnym do roboty. Objawów zewnętrznych nie było żadnych, mimoto chory uskarżał się na zmęczenie, brak sił i niejako niemożność wykonywania wszelkich ruchów. Była to czysta histerya, spowodowana przestrachem i silnem wzruszeniem umysłowem. Chory nie odzyskał już nigdy dawnej swobody i musiał być spensyonowanym. — Zastanawiając się nad temi wypadkami, widzimy, jakim niebezpieczeństwom podlega służba kolejowa. Umysł i ciało narażone bezustannie na tysiące obrażeń i wstrząśnień, a rzecz niewątpliwa, że ciężkie warunki owej pracy podwajają jeszcze grozę położenia i zwiększają zgubność następstw. Jakżeż wobec tego przedstawia się na kolei „opieka" lekarska? Jak śmiesznie małe są środki ochronne, a jak nikczemnie obniżają wartość ich lekarze kolejowi! Naukowe badania dowodzą coraz jaśniej, że kolejarz, który uległ katastrofie, nie jest nigdy pewny zupełnego zdrowia, i do końca życia narażony jest na smutne następstwa. Nasi lekarze jednakowoż nie liczą się wcale z badaniami. Dziś wchodzi coraz bardziej w modę badać kolejarza nie w kierunku choroby, ale zastanawiać się przedewszystkiem nad tem, czy to symulant, czy nie. Już nietylko kolejowi, ale i prywatni starają się przedewszystkiem wykazać w chorym kolejarzu symulacyę. Tymczasem badania dra Steppa przekonywują nas znowu, że nawet zupełny brak objawów chorobowych, jeszcze o niczem nie świadczy i może być tylko dowodem, że zbyt często wymyka się z przed oczu lekarza to, co jest przecież rzeczywistą chorobą. Czy lekarze kolejowi pozbędą się kiedy uprzedzeń, wlewanych im przez władze kolejowe, czy wejdą raz nareszcie głębiej w istotę rzeczy? Pytanie to rozstrzygnie się wtedy, jeśli nam zamiast nędznych, usłużnych urzędników, dadzą na lekarzy prawdziwych doktorów medycyny, ludzi, którzy potrafią nawet wobec najwyższych władz bronić śmiało konsekwencyj swojej nauki.

Pod pręgierz.

Stroże. (Gospodarka p. Jany). Do dotychczasowych naszych doniesień, które — jak nam się zdaje — zawierały wcale ciekawe obrazki z gospodarki p. Jany, musimy dziś dołączyć jeszcze wiadomość, że nasz p. naczelnik lubuje się w ciemnościach. Wprawdzie dziwne to bardzo zamiłowanie, ale kto raz tylko miał sposobność przypatrzyć się naszej stacyi, ten zaraz pewnie spostrzegł, że p. Jana jest na punkcie oświetlenia bardzo oszczędny i niewymagający. Wtajemniczeni znają dobrze przyczynę tego więcej niż półmroku, który otacza naszą stacyę, a ponieważ zaliczamy się właśnie do wtajemniczonych, chcemy więc omówić bliżej tę ciemną stronę gospodarki p. Jany. Na całej stacyi znajduje się lamp przeszło 60 i to musimy przyznać dyrekcyi, że nie jest zwolenniczką ciemności i że lamp jest dosyć. Ale p. naczelnik wydaje tak mało nafty do tych lamp, że lampista nie jest w żaden sposób w stanie dostarczyć stacyi należytego oświetlenia. Jeżeli zaś ośmieli się prosić p. naczelnika o więcej nafty, to oszczędny p. Jana odpowiada: „jak ci braknie, to sobie kup"... Naturalna rzecz, że lampista nie poczuwa się bynajmniej do obowiązku opłacania kosztów oświetlenia z własnej, niezbyt pełnej kieszeni i stąd pochodzi, że narażeni jesteśmy na prowadzenie całej wieczornej służby po ciemku. Takie postępowanie p. naczelnika naraża naturalnie na ciągłe niebezpieczeństwo: szybowanie w górnych wajchach odbywa się tu od pół do ósmej wieczorem do czwartej rano, a przez cały ten czas nie świeci się ani jedna lampa z tych, które świetna dyrekcya kazała zapewne nie od parady postawić. Służba ta odbywa się więc przy skąpem świetle małych latarek, które absolutnie nie mogą wystarczyć. Cóż łatwiejszego w takich warunkach, jak o wypadek? To też nadzorca wozów zwracał podobno kilka razy uwagę urzędnikowi ruchu, żeby zrobił z tą sprawą porządek, ale dotąd niema żadnego skutku. Nie wiedzieć, czy ów urzędnik nie chce, czy też boi się mówić z p. naczelnikiem, dość na tem, że wszystko zostało tak, jak było. Cała więc służba prowadzi się dzisiaj wśród ustawicznej obawy o życie, a jak może taka robota wypaść, o tem chyba nie potrzeba mówić. Jeżeli zaś wskutek tego wydarzy się jakie nieszczęście, to p. Jana umyje ręce, a wina spadnie na innych, naturalnie niższych. Dlatego zwracamy się do świetnej dyrekcyi z prośbą, aby tę sprawę zbadała i sama przekonała się o prawdziwości naszego opowiadania. Sądzimy, że nabrawszy tego przekonania, dyrekcya usunie nareszcie te objawy oszczędności p. Jany.

Kęty. O kierowniku stacyi Voitlu dowiadujemy się coraz nowych rzeczy. Z bogatego materyału, któryśmy zebrali do jego osoby, podajemy na razie kilka tylko faktów, zwracając zarazem uwagę dyrekcyi kolei półn. na to szczególnego rodzaju indywiduum. I tak zdarzyło się raz, że jakaś pani z dziećmi wsiadła w oczach p. Voitla na t. zw. „schoter-zugi", wybierając się nim na spacer. P. Voitl widocznie jej na to zezwolił, powinien był więc przed wyruszeniem pociągu dać znać zwrotniczym, w którym kierunku pociąg pojedzie, a następnie powinien był sam obejrzeć linię, jak to jest jego obowiązkiem służbowym. Tymczasem p. Voitl zaniedbał tego wszystkiego i w ten sposób łatwo mógł się stać przyczyną nieszczęścia i śmierci owej pani i dzieci. Pociąg bowiem szedł właśnie na zamkniętą zwrotnicę — nieszczęście więc gotowe. Dziwnym trafem zwrotnica była zupełnie potargana i temu należy zawdzięczyć, że pociąg przybył nienaruszony. Kiedy zaś jeden ze zwrotniczych zwrócił uwagę Voitlowi na niebezpieczeństwo, zagrażające pociągowi, on odszedł, machnąwszy ręką. — Innym znów razem wstał tak późno do pociągu (co mu się po nocnych hulankach coraz częściej zdarza), że nie miał już czasu sprzedać wszystkim biletów i wskutek tego dużo ludzi pojechało bez biletów, naturalnie przez niedbalstwo kierownika. Tak samo zrobił raz nad ranem, kiedy przyjechał pociąg, a pasażerowie domagali się gwałtem biletów. P. Voitl leżał gdzieś w karczmie pijany i ani myślał o wstawaniu. Naturalnie, że takie postępowanie kierownika stacyi naraża nieraz pociągi na niebezpieczeństwo i nie możnaby się wcale dziwić, gdyby tu wypadki były coraz częstsze. Że tam p. Voitl tak sobie lubi życie pędzić, to nas wcale nie obchodzi; nie obchodzi nas również zbytnio to, że p. Voitl lekceważy sobie w ten sposób służbę, bo to już rzecz dyrekcyi kontrolować czynności urzędników. Ale na to nie możemy się zgodzić, aby taki p. Voitl, który sam nic nie robi, sam zasługuje na ciągłe kary, znęcał się nad robotnikami, tyranizował ich i szykanował, obsypywał karami za najlżejsze przewinienia. Jeżeli kto, to chyba taki przełożony, który sam ma tak małą wartość, nie ma prawa tak postępować z niższymi od siebie co do rangi, a zasługującymi z pewnością na większy, niż on, szacunek.

Lwów (Satrapa Drewnowski). Dziś tylko malutki fakcik z naszych warsztatów, zostających pod komendą znanego propagatora idei grzmotowych, p. Drewnowskiego. Zdarzenie, o którem chcemy mówić, świadczy o tem, że ziarno denuncyacyi i szpiclowstwa, rzucone przez tego zacnego inspektora, przyjmuje się u niektórych jego podwładnych, którzy są bezpośrednimi przełożonymi robotników. Niedawno jeden z pracujących robotników, czując się chorym, zażądał od werkfirera Hornego kartki do lekarza. Werkfirer znał już jednak sztuczki swego zwierzchnika i nauczył się od niego, jak można najlepiej robotników sekować. Nic więc choremu nie mówiąc, udał się do Drewnowskiego i przedstawił owego robotnika jako pijaka, symulanta, któremu się nie chce robić itp. P. Drewnowski na to, jak na lato. Postąpił jednak tak chytrze, że kazał wydać robotnikowi kartkę, a równocześnie porozumiał się z lekarzem, oznajmując mu przybycie „symulanta" i prosząc o dokładne zbadanie, celem zdemaskowania rzekomo chorego. „Po tem dziele obaj zacni ludzie zacierali ręce z zadowolenia, że tak go złapali". Niestety bezpodstawna była radość p. Drewnowskiego i jego służki. Lekarz pomimo jaknajdokładniejszego badania znalazł „symulanta" istotnie chorym, a na dobitek opowiedział choremu, jakie to podejrzenie wypowiedział co do niego p. inspektor... W ten sposób obydny system denuncyacyj, podejrzeń, uprawiany tak gorliwie w naszych warsztatach, został zdemaskowany. Czy p. Drewnowskiego nauczy czego ten wcale nieodosobniony wypadek? Sądzimy w każdym razie, że będzie na przyszłość ostrożniejszym...

KRONIKA.

Baczność, kolejarze! Wskutek zmiany statutu „Zakładu ubezpieczeń" odbędą się obecnie wybory jednego wydziałowego i zastępcy z każdego okręgu dyrekcyjnego. Galicyjscy kolejarze mają zatem wybrać 3 delegatów i 3 zastępców. Wybory odbędą się w bardzo krótkim czasie pora więc już najwyższa ułożyć się co do kandydatów. Dlatego wzywamy wszystkich towarzyszów, zajętych w okręgach dyrekcyi krakowskiej, lwowskiej i stanisławowskiej, aby jeszcze w tym tygodniu tj. najdalej do 7 bm. przysłali do naszej redakcyi nazwiska swoich kandydatów. Chodzi tu o to, aby nie pozwolić na wybór lizunów, których będą pewnie chciały popierać dyrekcye, ale żeby przeprzeć swoich kandydatów, ludzi uczciwych, którzy mają pełne zaufanie robotników kolejowych. A więc, towarzysze, do pracy!...

Z Zakładu ubezpieczeń od wypadków na kolejach austr. W tych dniach otrzymaliśmy od jednego z członków zarządu tego zakładu, tow. Jedliczki, list, w którym prosi nas o poruszenie w naszem piśmie jednej bardzo ważnej sprawy. Chodzi mianowicie o to, że dotąd zarząd owego zakładu opierał się jedynie na informacyach lekarzy i na protokółach, spisywanych z kolejarzami, którzy ulegli jakiemuś wypadkowi. Wiadomo jednak, że ani jedna, ani druga

informacya nie może być zupełnie wystarczającą i że nawet często są wprost mylne. Leży zatem w interesie ubezpieczonych kolejarzy, aby o każdym wypadku, którego stali się ofiarą, donosili zarządowi sami i to jaknajdokładniej. W niemieckich prowincyach Austryi kolejarze przestrzegają tego ściśle, a rzecz ta dla nich o tyle jest łatwiejsza, że mogą pisać po niemiecku, a więc w języku, dla zarządu zakładu zrozumiałym. Kolejarze galicyjscy prawie zupełnie nie korzystali dotąd z tego prawa i dlatego nieraz bywali pokrzywdzeni. Otóż tow. Jedliczka, który przez dłuższy czas pracował w Nowym Sączu i tam nauczył się po polsku, zwraca się obecnie z prośbą do kolejarzy galicyjskich, aby wszystkie wypadki opisywali mu dokładnie po polsku i przesyłali na jego ręce. Nie potrzebujemy chyba dodawać, że to dla naszych towarzyszy połączone jest z wielką korzyścią i że powinni z wdzięcznością przyjąć propozycyę tow. Jedliczki. W tym celu podajemy tu jego adres: Johann Jedliczka, Vorstandsmitglied der berufsgenossenschaftlichen Unfallversicherungs-Anstalt in Wien. (Adres ma być pisany po niemiecku, sam list po polsku).

Konduktorzy krakowscy zwracają się za naszem pośrednictwem do dyrekcyi z zapytaniem, dlaczego od połowy zeszłego roku wydaje im płaszcze bez kapiszonów. Czy nawet na takich rzeczach musi kolej oszczędzać? Jeśli porównamy niewielki dla dyrekcyi wydatek, jaki stanowiły owe kapiszony, z przykrością, która wynika dla konduktorów z tego braku, musimy dojść do przekonania, że to ma być chyba tylko nowy sposób szykany. Dla ludzi, będących ciągle w podróży, kapiszony takie były prawie niezbędną ochroną przed śniegiem i mrozem; pozbawiać ich tej ochrony, jestto dodawać do rzędu rozlicznych krzywd jeszcze jedną, wcale nie najmniej dotkliwą. Sądzimy, że dyrekcya, która nie zna prawideł oszczędności, jeżeli chodzi o wygody dla grubych ryb, nie zechce też odmówić konduktorom tej drobnostki i wyda w tym kierunku stosowne polecenia. Zwracamy też jej uwagę, że dla konduktora, i tak licho wynagradzanego, wydatek taki byłby zbyt znacznym i jest wprost niemożliwy. Konduktorzy krakowscy wyrażają zatem nadzieję, że stanie się zadość ich słusznemu życzeniu.

Uwolnionym od kary został Roman Boduch, kolejarz, którego tutejszy sąd karny skazał za rzekomą obrazę religii. Trybunał kasacyjny przychylił się do wywodów obrońcy, dra Garfeina, i zniósł wyrok, nakazując telegraficznie uwolnienie niewinnie skazanego. Boduch przesiedział pięć miesięcy w więzieniu i doczekał się wreszcie sprawiedliwości, która uznała jego niewinność. Pięć miesięcy niewinnie więziony ojciec rodziny, więziony pod zarzutem ciężkiej zbrodni — oto owoc denuncyacyi jezuickich wychowanków. „Przyjaciele" i ich opiekunowie mogą być dumni z swojej pracy....

Ehrenberg — spoliczkowany rzezimieszek. Dla wiadomości naszych czytelników, którzy nie znają dokładnie osoby wypoliczkowanego niedawno łotra, podajemy tu króciutko rysy charakterystyczne Ehrenberga. Nie zajmowalibyśmy się nim wcale, gdybyśmy nie uważali za stosowne zedrzeć maski z twarzy człowieka, który dziś przedstawia się za męczennika i ofiarę „gwałtu publicznego". Wzgląd na moralność publiczną zniewala nas do kalania nazwiskiem Ehrenbarga łamów robotniczego pisma. Otóż obecny redaktor „Głosu Narodu" rozpoczął swoją karyerę w „Kuryerze Polskim", pod kierunkiem osławionego Orłowskiego, który jako zwykły złodziej i oszust, musiał uciekać z Krakowa. Dalszym etapem w jego dziennikarskim życiu był „Czas", gdzie pracował jako jeden z podrzędnych, bo najmniej zdolnych współpracowników. Ale w „Czasie", piśmie bądźcobądź poważnem, niewygodnie było człowiekowi, który zaczął jako uczeń Orłowskiego. Wnet też zwąchał się z Rogoszem, redaktorem „Głosu Narodu" i postanowił swoje siły (?) umysłowe oddać brukowej szmacie. I tu najlepiej okazuje się moralna wartość tego szubrawca: w redakcyi „Czasu" oświadczył, że jedzie do Warszawy i że tam wstępuje do jednego pisma. A kiedy redaktor „Czasu", Tomkowicz, dowiedziawszy się przypadkiem o właściwym planie Ehrenberga, zapytał go, czy prawdą jest, iż ma przejść do „Głosu Narodu", wówczas ten najbezczelniej w świecie dał uroczyste słowo honoru, że to fałsz. Na drugi dzień rzucał już z łamów „Głosu Narodu" obelgi i kalumnie na byłych swoich kolegów, wyzyskując przytem bezwstydnie znane mu tajemnice redakcyjne „Czasu". Dziś, jako naczelny redaktor „Głosu Narodu", popełnia codziennie, w każdem prawie słowie świadome łajdactwa, — a na co za to wszystko zasłużył, to już ocenił tow. Kaczanowski. I dla takiego łotra opinia publiczna jest względną; dla niego trzyma się w więzieniu uczciwie pracujących, zacnych ludzi! Tow. Kaczanowski dotąd bowiem nie wypuszczony, choć śledztwo skończyło się i akt oskarżenia o „współwinę w gwałcie publicznym" doręczony. Rozprawa odbędzie się w najbliższą sobotę, a o jej wyniku nie omieszkamy donieść.

W sprawie dodatków drożyźnianych na kolei północnej była 30 października deputacya u gener. dyrektora Jeitelesa, złożona z trzech towarzyszy, zatrudnionych na tej kolei, a która przedłożyła mu petycyę służby kolei półn. o udzielenie dodatków drożyźnianych. Petycya ta była podpisana przez kilka tysięcy funkcyonaryuszy rozmaitych stopni. Jeden członek deputacyi, tow. Karpas, wyłuszczył w dłuższej przemowie przyczyny, które skłoniły funkcyonaryuszy kolei półn. do wystosowania tej petycyi, a p. Jeiteles wysłuchał spokojnie do samego końca jego wywodów o nędzy służby kolei półn., powiększonej jeszcze obecną drożyzną. P. hofrat był naturalnie bardzo uprzejmy wobec delegacyi; oświadczył wprawdzie, że nie chce nic przyrzekać, ale za to zapewnił delegatów, że petycyę i sprawę samą przestudyuje dokładnie i podda ją pod rozwagę rady nadzorczej, sam zaś z pewnością nie będzie się sprzeciwiał żądaniom deputacyi. Służba kolei północnej może więc teraz wyczekiwać spokojnie losu swej petycyi: rada naczelna będzie ją czytała, a p. hofrat Jeiteles poprze ją pewnie gorąco i wymownie. Czy będzie z tego jaka korzyść, to już inna kwestya, i tego nie przyrzekał bynajmniej p. Jeiteles. W każdym razie dobrze będzie mieć znowu sposobność poznać, jak zarząd kolei północnej postępuje z najsłuszniejszemi żądaniami służby. I zobaczymy znowu, czy do rzędu dotychczasowych krzywd zarząd ten będzie miał odwagę dodać nową: zobaczymy, czy Rotszyldzi i Gutmani i ci wszyscy inni lichwiarze akcyonaryusze będą mogli odmówić skromnej, małej pomocy tym, z których pracy żyją.

Z kolei półn. ces Ferdynanda. Mieliśmy niedawno sposobność wykazać na przykładzie „dobrodziejstwa" dyrekcyi kolei półn., obecnie zaś dowiadujemy się znowu o faktach, które w jaskrawem świetle przedstawiają chciwość i sknerstwo Jeitelesa i jego pomocników. Rzecz tym razem dotyczy „ablöse-wechtrów", a więc jednej z najbiedniejszych kategoryi funkcyonaryuszy. Do 1 lipca zeszłego roku pobierali wszyscy luzujący strażnicy po 75 ct. dziennie; z tym dniem podwyższono im płacę na 80 ct., ale tym tylko, którzy służyli już w tym charakterze przynajmniej 2 lata. Po kilku miesiącach podwyższono znowu tym, którzy mają już sześcio- do dziesięcioletnią służbę, płacę na 85 ct. Tak więc były trzy stopnie płacy: 75, 80 i 85. Ale zarządy linii uznając bezzasadność pozostawienia tej najniższej płacy, zwłaszcza, że robotnicy torowi, z których przeważnie rekrutują się strażnicy luzujący, pobierali już także 80 ct., wypłacali wszystkim po 80 i 85 ct. Trwało to jednak niedługo. Dyrekcya poznawszy z rachunków, że ci strażnicy pobierają 80 ct., kazała natychmiast zniżyć im płacę do 75 ct. Brakowałoby jeszcze tego, żeby ta „humanitarna" dyrekcya kazała sobie zwrócić wszystkie „nieprawnie" pobrane piątaki. Nędzna płaca 80 ct. dziennie wydaje się tej dyrekcyi tak niesłychanie wysoką, że nie może uznać wszystkich strażników godnymi tego szczęścia. A jaka z tego przebija brudota, jaka lichwiarska chciwość pieniędzy. Strażnicy mają zamiar wnieść w tej sprawie petycyę do dyrekcyi, w której zażądają zwrotu odebranej nadwyżki, opierając się na tem, że i tak giną prawie z głodu przy owej „wysokiej" płacy. Znając p. Jeitelesa i jego adlatusów, wątpimy, czy ta petycya odniesie jaki skutek; ale czy to nie najbardziej charakterystyczne dla naszych stosunków kolejowych ta prośba o pięć centów?...

Kierownicy stacyjni kolei półn. ces. Ferdynanda wystosowują w ostatnim nr. „Eisenbahner'a" zapytanie do dyrektora Jeitelesa, które poniżej przytaczamy dosłownie. Nic nie dodajemy od siebie, uważając, że sami interpelanci dosadnie, choć zwięźle, piętnują osławiony system gospodarki Jeitelesa.

„Podług okólnika nr. 40 z 9 września 1897 zostało znowu życzliwie z szeregów podurzędników 14 po długich cierpieniach — mianowanych urzędnikami. Jakkolwiek zresztą życzymy każdemu osiągnięcia tego upragnionego celu, to przecież musimy wyrazić zdumienie i ośmielamy się zapytać p. Jeitelesa, jak było możliwem, ażeby wszystkich kierowników stacyjnych, służących długie lata z poświęceniem, a mających obok wielce odpowiedzialnej samoistnej posady, także trzy egzamina urzędnicze — pominąć zupełnie, a natomiast mianować oficyałami takich, którzy złożyli tylko jeden egzamin.

Czyż ta gospodarka protekcyjna nie jest oburzającą i srodze dotkliwą dla wszystkich pożałowania godnych, pominiętych kierowników?

Tylko tak dalej panie Jejteles, a świadomość będzie sięgała coraz wyżej...

Siedmnaście godzin w służbie bez pożywienia. W tych dniach odbyła się w Budziejowicach rozprawa sądowa przeciwko Franciszkowi Richterowi, kierownikowi lokomotywy, o to, iż przez nieostrożność stał się rzekomo przyczyną zderzenia się dwóch ciężarowych pociągów, które zaszło dn. 22 maja b. r. Oskarżony usprawiedliwiał się tem, że znajdował się wówczas w stanie zupełnego odurzenia i nie miał już nawet siły powstrzymać swego pociągu. Zresztą główną winę przypisuje Richter urzędnikowi, który wpuścił na stacyę dwa pociągi. Badani lekarze sądowi oświadczają, że nie jest możliwem, aby oskarżony znajdował się w stanie nieprzytomnym. Wbrew temu orzeczeniu pod[illegible] dr. Fried, że Richter nie chciał jeść, ale musiał z powodu braku innego [illegible] lokomotywy, że wskutek nagłego wyjazdu nie miał nawet czasu zjeść, tak iż wobec tego był 16 godzin 55 minut bez pożywienia; jeśli do tego dołączymy nieznośny upał, jaki wówczas panował, to należy koniecznie przypuścić, że oskarżony znajdował się w [illegible] w stanie kompletnego wyczerpania i nie jest przeto odpowiedzialny za to, co się wówczas stało. Sędzia wydał wyrok uwalniający, opierając się na motywach, podanych przez obrońcę, że Richter znajdował się wówczas w stanie, wykluczającym wszelką odpowiedzialność. — Rozprawy takie, malujące najwymowniej całą grozę stosunków kolejowych, stają się coraz częstsze i tworzą już obecnie prawdziwy znak czasu...

Sprawy kolejowe za granicą. Francuskie pismo zawodowe „Przegląd kolejarzy" donosi, że w obecnej sesyi uchwaliła Izba francuska ustawę o wypadkach, zaszłych w czasie ruchu. Otóż podług tej ustawy cały ciężar ubezpieczenia robotników od wypadków we wszystkich zawodach maszynowych i kooperatywnych spada na przedsiębiorcę: wobec tego także kolejowe przedsiębiorstwa muszą wziąć na siebie ten obowiązek. Renta wynosi $^{1}/_{3}$ do $^{2}/_{3}$, w razie śmierci 20—40% płacy.

Również z tego pisma dowiadujemy się, że posłowie socyalistyczni we Francyi nie zapominają także o kolejarzach. I tak wnieśli oni projekt ustawy, celem polepszenia losu kolejarzy, który zawiera następujące postulaty: jeden dzień spoczynku na tydzień, najmniej 5 fr. (tj. blisko 2 złr. 50 ct.) płacy dziennej i wypłacanie płacy także podczas choroby.

We Włoszech znowuż socyalistyczni kolejarze nie zasypiają gruszek w popiele. I tak odbyła się tam równocześnie w kilku miejscowościach, jak w Medyolanie, Liwornie, Florencyi itd., wielka demonstracya na rzecz kas pensyjnych dla służby kolejowej. Rzecz mianowicie idzie o to, że zarządy kolejowe swoją nędzną gospodarką, przekupstwami i niedbalstwem doprowadziły fundusz ubezpieczeniowy do deficytu. Robotnicy kolejowi żądają więc teraz założenia kas, któremi sami mogliby rządzić. Demonstracye te, mające poprzeć to żądanie, zasadzały się na olbrzymich zgromadzeniach, na których mówcy, piętnując dosadnie postępki zarządów, domagali się również pokrycia przez rząd deficytu. Posłowie Turati i Gebba wzywali przytem gorąco do organizacyi, którą wskazywali jako jedyny środek usunięcia wszystkich krzywd i wad dzisiejszych stosunków.

Krwiożerczość kapitalistycznych kolei objawia się wszędzie w jednako strasznych rozmiarach. Koleje Stanów Zjednoczonych Ameryki Półn. nie ustępują żadnym innym na polu prawdziwie systematycznego mordowania służby kolejowej. Mamy cyfry zabitych i rannych na kolejach Stanów Zjednoczonych w ciągu lat sześciu, od r. 1891 do 1896; czyta się je i wierzyć wprost nie chce, że to możliwe, gdyby się niestety nie miało przed sobą cyfr urzędowych. W r. 1891 zabitych było 7029, rannych 33.881; w następnym roku pierwszych już 7147, drugich 36.652. W roku 1896 liczba zabitych wynosiła 6487, rannych 38.845. Musimy tu zaraz pospieszyć z wyjaśnieniem, że względna ta zniżka nie wynika wcale z poprawy stosunków, ale tylko ze zmniejszonego wogóle ruchu na kolejach. Natomiast, pomijając ten przypadkowy spadek, zauważa się ciągły wzrost liczby zabitych i rannych. Ale te straszne cyfry stają się jeszcze okropniejszemi, jeżeli się uwzględni zawartą w nich ilość ofiar z szeregów kolejarzy. I tak w r. 1891 było kolejarzy zabitych 2660, rannych 26.140; w r. 1896 zabitych 1900, ranionych 30.000. Czyli, że prawie całą ilość zabitych i rannych stanowią funkcyonaryusze kolejowi! Jeśli do tego dodamy, że liczba służby kolejowej w Stanach Zjednoczonych wynosi tylko 200.795, będziemy mieli wyobrażenie o strasznem znaczeniu powyższych liczb; wynika z tego, że olbrzymia część ogółu kolejarzy ulega nieszczęśliwym wypadkom. Kapitalistyczne przedsiębiorstwa kolejowe stają się prawdziwem miejscem zniszczenia i zguby dla robotników kolejowych.

Pokwitowania.

Na fundusz prasowy złożyli: I. Szp. 0·25, P. St. 0·10, Tow. Nowo-Sądeccy 2·45, I. K. 0·65, S. P. 0·10, Przyjaciel 1·00, Pod. 00·5, I. 0·15, Pod. W. B. 1·00; razem 5·75; poprzednio wykazano 12·18, razem 17·93.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Jan Englisch. Drukiem A. Słomskiego w Krakowie.